

**BOLESŁAW
PRUS**

GRZECHY
DZIECIŃSTWA

Bolesław Prus
Grzechy dzieciństwa

«Public Domain»

Prus B.

Grzechy dzieciństwa / B. Prus — «Public Domain»,

Świat widziany oczami nastoletniego chłopca, Kazia Leśniewskiego. Dzieciństwo bez idealizacji, ze wszystkimi jego radościami i smutkami. Szkoła i wakacje, pierwsze przyjaźnie, pierwsza naiwna miłość, pierwsze trudne, niekoniecznie właściwe decyzje i ich nieprzewidziane, bolesne skutki. Grzechy dzieciństwa przeniósł na ekran Krzysztof Nowak w 1980. Film zdobył główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży w Tomar i nagrodę jury i publiczności na festiwalu w Gijon. Bolesław Prus (właściwie Aleksander Głowacki) był świetnym obserwatorem, co znalazło odzwierciedlenie w jego twórczości — nikt tak jak on nie opisywał nastrojów i mechanizmów społecznych. Współpracował z wieloma gazetami, m.in. „Niwą” i „Tygodnikiem Ilustrowanym”, a ukazujące się w „Kurierze Warszawskim”, opisujące życie miasta, „Kroniki” cieszyły się dużą popularnością. Brał udział w licznych inicjatywach społecznych i oświatowych.

© Prus B.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

13

Bolesław Prus

Grzechy dzieciństwa

Urodziłem się w epoce, kiedy każdy człowiek musiał mieć przydomek, choćby niekoniecznie słuszny.

Z tego powodu naszą dziedziczkę nazywali hrabiną, mego ojca jej plenipotentem, a mnie bardzo rzadko Kaziem albo Leśniewskim, ale dość często urwisem, dopóki byłem w domu, albo osłem, kiedym już poszedł do szkół.

Ponieważ na próżno szukałby kto nazwiska naszej dziedziczki w słowniku rodzin arystokratycznych, zdaje mi się więc, że blask jej hrabiowskiej korony nie sięgał dalej niż plenipotentja mego śp. ojca. Przypominam sobie nawet, że tytuł hrabiny był rodzajem pomnika, którym śp. mój ojciec uczcił radosny wypadek podwyższenia mu pensji rocznie o sto złotych. Nasza pani w milczeniu przyjęła ofiarowaną jej godność, a w kilka dni później ojciec mój awansował z rządcy na plenipotentę i otrzymał zamiast dyplomu niesłychanej wielkości wieprzka, po sprzedaniu którego kupiono mi pierwsze buty.

Ojciec, ja i moja siostra Zosia (bom już nie miał matki) mieszkaliśmy w murowanej oficynie, o kilkadziesiąt kroków od pałacu. Pałac zaś zajmowała pani hrabina z córeczką Lonią, moją rówieśniczką, z jej guwernantką, ze starą gospodynią Salusią, tudzież z wielką liczbą garderobianych i panien służących. Dziewczęta te po całych dniach szyły, z czego wyprowadziłem wniosek, że wielkie panie są od tego, żeby darły odzież, a dziewczęta – ażeby ją naprawiały. O innych przeznaczeniach wielkich dam i ubogich dziewcząt nie miałem pojęcia, co w oczach ojca stanowiło jedyną moją zaletę.

Pani hrabina była młodą wdową, którą mąż dość wcześnie pograżył w nieutulonym smutku. O ile mi wiadomo z tradycji, nieboszczyka nikt nie tytułował hrabią ani on nikogo plenipotentem. Natomiast sąsiedzi z dziwną w naszym kraju jednomyślnością nazywali go półgłówkiem. W każdym razie był to człowiek niepospolity. Zajeżdżał wierzchowe konie, tratował na polowaniach chłopskie zasiewy, a z sąsiadami pojedynkował się o psy i zające. W domu męczył żonę zazdrością, a służbie zatruwał życie długim pieprzowym cybuchem. Po śmierci oryginała jego wierzchowce poszły do wożenia gnoju, a psy rozdarowano. Świat zaś otrzymał po nim w spadku małą córeczkę i młodą wdowę. Ach! przepraszam, bo został jeszcze olejny portret nieboszczyka z herbowym sygnetem na palcu i – ów pieprzowy cybuch, który, skutkiem niewłaściwego użycia, wygiął się jak turecka szabla.

Pałacu prawie nie znałem. Raz dlatego, że mnie wolał biegać po polach niż wywracać się na śliskiej posadzce, a po wtóre, że mnie tam nie wpuszczała służba, bo przy pierwszych odwiedzinach miałem nieszczęście stłuc duży wazon saski.

Z hrabianką przed moim wejściem do szkół bawiliśmy się tylko jeden raz, mając oboje niespełna po dziesięć lat. Przy sposobności chciałem ją nauczyć sztuki łażenia po drzewach i usadowiłem ją na żerdziowym płocie w taki sposób, że dziewczynka poczęła wniebogłose krzyczeć, za co jej guwernantka wybiła mnie niebieskim parasolem, mówiąc, że mogłem Lonię zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Od tej pory zbudził się we mnie wstręt do małych dziewcząt, z których żadna nie była w stanie ani łazić po drzewach, ani kąpać się ze mną w stawie, ani jeździć konno, ani strzelać z łuku albo rzucać kamieni z procy. W razie zaś bitwy, bez której – cóż znaczy zabawa! – prawie każda zaczynała mazać się i biegła do kogoś na skargę.

Ponieważ z folwarcznymi chłopcami ojciec znowu nie pozwalał mi się wdawać, a siostra prawie całe dni przepędzała w pałacu, więc rosłem i hodowałem się sam jak drapieżne pisklę, które porzucili rodzice. Kąpałem się pode młynem albo w dziurawym czólnie pływałem po stawie. W parku ze zwinnością kota goniłem po gałęziach wiewiórki. Raz wyrzuciło mi się czólnio i pół dnia przesiedziałem na pływającej kępie, nie większej od balii. Raz przez dymnik wdrapałem się na dach pałacu tak nieszczęśliwie, że musiano związać dwie drabiny dla sprowadzenia mnie stamtąd. Innego

dnia całą dobę błąkałem się po lesie, a jeszcze innego stary wierzchowiec nieboszczyka dziedzica, przypomniawszy sobie lepsze czasy, z godzinę ponosił mnie przez pola i w końcu – zapewne niechcący – przyprawił o złamanie nogi, która zresztą zrosła mi się dość prędko.

Nie mając z kim żyć, żyłem z naturą. Znałem w parku każde mrowisko, w polu każdą jamę chomików, w ogrodzie każdą ścieżkę kretów. Wiedziałem o ptasich gniazdach i o dziuplach, gdzie hodowały się młode wiewiórki. Odróżniałem szmer każdej lipy około domu i umiałem wyśpiewać to, co wiatr wygrywa na drzewach. Nieraz słyszałem jakieś wiekuiste chodzenie po lesie, choć nie wiedziałem, czyje ono. Wpatrywałem się w migotanie gwiazd, rozmawiałem z nocną ciszą, a nie mając kogo całować, całowałem psy podwórzowe. Matka moja dawno odpoczywała w ziemi. Już nawet pod przyciskającym ją kamieniem zrobił się otwór sięgający pewnie aż do wnętrza grobu. Raz, kiedy mnie za coś obito, poszedłem tam, wzywałem jej, nadstawiałem ucha, czy nie odpowie... Ale nie odpowiedziała nic. Widać, naprawdę umarła.

W owym czasie tworzyłem sobie pierwsze pojęcia o ludziach i o ich stosunkach. W mojej na przykład wyobraźni plenipotent musiał koniecznie być trochę otyły, mieć rumianą twarz, wąs zwieszony, duże brwi nad siwymi oczami, basowy głos i przynajmniej taką zdolność do krzyczenia – jak mój ojciec. Osoby zwanej hrabiną nie mogłem wyobrazić sobie inaczej, tylko jako wysoką damę, z piękną twarzą i smutnymi oczyma, chodzącą w milczeniu po parku w białej, powłóczyściej sukni.

Za to o człowieku noszącym tytuł hrabiego nie miałem pojęcia. Podobny człowiek, gdyby nawet istniał, wydawał mi się rzeczą mniej znaczącą od hrabiny, a nawet całkiem nieużyteczną i nieprzyzwoitą. Według moich poglądów, tylko w obszernej sukni z długim ogonem mógł przemieszkiwać majestat jaśnie wielmożności; wszelkie zaś odzienia krótkie, obcisłe, a tym bardziej złożone z dwu części mogły służyć tylko pisarzom prowentowym, gorzelnikom, a w najlepszym razie plenipotentom.

Taki to był mój legitymizm oparty na przykazaniach ojca, który nieustannie zalecał mi – kochać i czcić panią hrabinę. Zresztą gdybym kiedy zapomniał o tych przepisach, dość mi było spojrzeć na czerwoną szafę w kancelarii ojca, gdzie, obok kwitów i notatek, wisiała na gwoździu pięciopalczasta dyscyplina, wcielenie zasad społecznego porządku. Stanowiła ona dla mnie pewien rodzaj encyklopedii, na którą patrząc, przypominałem sobie, że nie należy drzeć butów, ciągnąć źrebiąt za ogony, że wszelka władza pochodzi od Boga itd.

Ojciec mój był człowiek niezłomny w pracy, nieskazitelnie uczciwy, a nawet bardzo łagodny. Z chłopów i służby nikogo nie tknął palcem, tylko strasznie krzyczał. Jeżeli zaś był nieco surowy dla mnie, to zapewne nie bez słuszych powodów. Nasz organista, któremu raz wyspałem do tabaki odrobinę ciemierzycy, skutkiem czego przez całą mszę świętą kichał zamiast śpiewać i wciąż mylił się w graniu, często mawiał, że gdyby miał takiego jak ja syna, to by mu strzelił w łeb.

Dobrze pamiętam to zdanie.

Panią hrabinę nazywał ojciec aniołem dobroci. Istotnie, w jej wsi nie było ludzi ani głodnych, ani obdartych, ani krzywdzonych. Komu zrobiono źle, szedł do niej na skargę; kto był chory, brał ze dworu lekarstwo; komu urodziło się dziecko, prosił dziedziczkę w kumy. Moja siostra uczyła się z hrabianką, a ja sam, choć unikałem arystokratycznych stosunków, miałem jednak sposobność przekonania się o nadzwyczajnej łagodności hrabiny.

Ojciec mój posiadał kilka sztuk broni, z której każda była przeznaczona do innego celu. Ogromna dubeltówka miała służyć do zabijania wilków, które dusiły cielecia naszej dziedziczki; skałkowy pistolet miał być użyty na obronę wszelkiej innej własności hrabiny, a wojskowy pałasz na obronę jej honoru. Swojej własności i honoru ojciec broniłby zapewne cywilnym kijem, bo cały ów bojowy rynsztunek, co kilka miesięcy pomazany tłustością, leżał gdzieś w takim kącie na strychu, że nawet ja nie mogłem go znaleźć.

Swoją drogą wiedziałem o tej broni i bardzo do niej tęsknił¹. Nieraz marzyło mi się, że spełnię taki szlachetny czyn, za który ojciec pozwoli mi strzelić z ogromnego pistoletu, a tymczasem – wymykałem się do gajowych i uczyłem się „wygarniać” z ich długich pojedynków, które posiadały tę własność, że przy wystrzale wyrządzały bezpośrednią szkodę tylko moim szczękom nie tykając żadnego stworzenia.

Pewnego dnia, podczas naoliwiania dubeltówki przeznaczonej na wilki, pistoletu na obronę własności i pałasza na obronę honoru hrabiny, udało mi się ukraść ojcu garść prochu, który, o ile wiem, nie miał jeszcze specjalnego przeznaczenia. Gdy ojciec wyjechał w pole, schwyciłem olbrzymi klucz do spichrza, który posiadał otwór podobny do lufy, tudzież dziurkę z boku, i poszedłem na polowanie.

Wielki klucz do połowy nabiłem prochem, wsypałem szczyptę połamanych guzików od niedającej się wymienić² części ubrania, przybiłem jak należy pakułami, a na wywołanie eksplozji wziąłem pudło hubczanych zapalek.

Ledwie wyszedł za dom, ujrzałem kilka wron polujących na dworskie kacząta. Prawie w moich oczach jedna ze szkodnic porwała kaczę, a nie mogąc go dość łatwo unieść, przysiadła na obórce.

Na ten widok zagrała we mnie krew przodków spod Wiednia. Podkradłem się pod obórkę, zatliłem hubkę, wymierzyłem klucz w lewe oko wrony, dmuchnąłem, podpaliłem... Huknęło – jakby piorun uderzył. Ze szczytu obórki stoczyło się już zaduszone kaczątko na ziemię, wrona dotknięta śmiertelną obawą uciekła na najwyższą lipę, ja zaś ze zdumieniem przekonałem się, że w moich rękach z wielkiego klucza zostało tylko ucho, ale za to ze słomianego dachu obory zaczyna wydobywać się niewielki kłębek dymu, jakby kto palił fajkę.

W kilka minut później obórka, wartująca³ około pięćdziesięciu złotych, stanęła w ogniu.

Zbiegli się ludzie, przygalopował na koniu mój ojciec, po czym, w asystencji tych wszystkich dzielnych i uczciwych osób, nieruchomość „wypaliła się – do środka ziemi” – jak powiedział pan gorzelany.

Przez ten czas ze mną działy się nieopisane rzeczy. Naprzód pobiegłem do mieszkania i powiesiłem na właściwym miejscu – ucho od rozerwanego klucza. Potem uciekłem do parku z zamiarem utopienia się w sadzawce. W sekundę później zasadniczo zmieniłem projekt, postanowiłem kłamać jak prowentowy pisarz i wyprzeć się klucza, strzelania i obórki. Gdy mnie zaś schwytano – od razu przyznałem się do wszystkiego.

Zaprowadzono mnie do pałacu. Na tarasie zobaczyłem mego ojca, panią hrabinę w powłóczystej sukni, hrabiankę ubraną dość kuso i moją siostrę, obie płaczące; potem – klucznicę Salusię, kamerdynera, lokaja, chłopca z kredensu, kucharza, kuchcika i cały rój pokojówek, garderobianych i dziewcząt. Gdym odwrócił oczy w przeciwną stronę, ujrzałem za budynkami – zielone wierzchołki lip, a nieco dalej żółtawobrunatny słup dymu, który, jakby umyślnie, unosił się nad pogorzelnikiem.

W tej chwili przypomniałem sobie słowa organisty, który mówił o konieczności strzelenia mi w łeb, i wywnioskowałem, że jeżeli kiedy, to chyba dzisiaj spotka mnie śmierć gwałtowna. Spaliłem oborę, zepsułem klucz od spichrza; siostra płacze, cała służba stoi w komplecie przed pałacem, cóż to więc znaczy?... Patrzyłem tylko, czy kucharz ma swoją fuzję⁴ – do jego bowiem obowiązków należało strzelanie zajęcy, tudzież śmiertelnie chorych zwierząt domowych.

¹ *bardzo* (...) *tęsknił* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: bardzo tęskniłem. [przypis edytorski]

² *niedająca się wymienić* – tu: niedająca się nazwać; nie do nazwania. [przypis edytorski]

³ *wartujący* (daw.) – warty, mający wartość. [przypis edytorski]

⁴ *ma* (...) *fuzję* (daw.) – dziś: ma fuzję. [przypis edytorski]

Przyprowadzono mnie do samej pani hrabiny. Ona spojrzała na mnie smutnymi oczyma, a ja, założywszy ręce w tył (jak to zwykłem był machinalnie czynić w obecności ojca), zadarłem głowę do góry, bo pani była wysoka.

W taki sposób przez kilka chwil przyglądaliśmy się sobie. Służba milczała, a w powietrzu czuć było spaleniznę.

– Zdaje mi się, panie Leśniewski, że ten chłopczyk jest bardzo żywego usposobienia? – rzekła melodyjnym głosem pani hrabina do mego ojca.

– Łajdak!... podpalacz!... zepsuł mi klucz od spichrza! – odparł ojciec, a potem prędko dodał:

– Upadnij do nóg pani hrabiny, ty łotrze!...

I lekko popchnął mnie naprzód.

– Macie mnie zabić, to zabijcie, ale ja tam nikomu nie będę padał do nóg – odpowiedziałem, nie spuszczać oka z pani, która zrobiła na mnie dziwne wrażenie.

– Chy!... Jezu... – jęknęła zgorszona Salusia, składając ręce.

– Uspokój się, mój chłopczyku, bo tu nikt nie zrobi ci krzywdy – rzekła pani.

– Aha! nikt!... Niby ja nie wiem, że mi strzelicie w łeb... Przecie mi to obiecał organista! – odparłem.

– Chy!... Jezu... – zawołała po raz drugi klucznica.

– Hańbi moją starość – odezwał się ojciec. – Trzy skóry bym z tego gałgana zdarł i posolił, żeby go pod swoją obronę nie wzięła pani hrabina.

W rogu tarasu stojący kucharz zasłonił usta ręką i śmiał się, aż zsiniał. Nie mogłem wytrzymać i – pokazałem mu język.

Służba zaszemrała ze zdziwienia, a ojciec, chwytając mnie za ramię, krzyknął:

– A ty znowu co?... Wobec pani hrabiny pokazujesz język?...

– Ja pokazałem język kucharzowi, bo on myślał, że mnie tak zastrzeli jak starego bułanka...

Pani hrabina zrobiła się jeszcze smutniejsza. Odgarnęła mi włosy z czoła, spojrzała głęboko w oczy i rzekła do ojca:

– Kto wie, panie Leśniewski, co jeszcze będzie z tego dziecka?...

– Szubienicznik! – krótko odpowiedział stroskany ojciec.

– Nie wiadomo – odparła pani, gładząc mi najeżone włosy. – Trzeba by go do szkół oddać, bo tu zdiczeje.

A potem, odchodząc do salonu, rzekła półgłosem:

– Jest materiał na człowieka, panie Leśniewski... Trzeba go tylko uczyć.

– Stanie się według woli pani hrabiny! – odpowiedział ojciec, dając mi pięścią w kark.

Z tarasu odeszli wszyscy, ale ja zostałem, nieruchomy jak kamień, zapatrzony we drzwi, w których znikła nasza dziedziczka. Teraz dopiero pomyślałem z żalem: dlaczego nie upadł do jej nóg? – i uczułem jakieś dławienie w piersiach. Gdyby kazała, chętnie położyłbym się na zgliszczach obórki i tak dałbym się powoli upiec na niej. Nie za to, że mnie nie kazała zastrzelić kucharzowi, ani zabić, ale za to, że miała taki słodki głos i takie smutne spojrzenie.

Od tego dnia byłem już mniej swobodny. Pani hrabina nie życzyła sobie tracić w ogniu reszty zabudowań, ojcu było przykro, że nie mógł uregulować ze mną rachunku za spaloną oborę, a ja sam musiałem przygotowywać się do szkół. Uczyli mnie organista i gorzelany na przemian. Mówiono nawet, że jakichś przedmiotów będzie mi wykładała guwernantka z pałacu. Ale gdy dama ta, przy zapoznaniu się ze mną, zobaczyła, że mam pełne kieszenie nożów, kamieni, śrutu i kapiszonów, złękła się tak, że już nie chciała widzieć mnie po raz drugi.

– Ja takim bandytom nie daję lekcji⁵ – powiedziała do mojej siostry.

Ja jednak w tych czasach już bardzo spoważniałem. Tylko raz chciałem się, na próbę, powiesić. Ale później wypadło mi jakieś inne zajęcie, więc nie zrobiłem sobie nic złego.

⁵ lekcji – daw. forma D.lm., dziś raczej: lekcji. [przypis edytorski]

Nareszcie w początkach sierpnia odwieziono mnie do szkół.

Egzamin zdałem wcale dobrze dzięki polecającym listom pani hrabiny, po czym ojciec umieścił mnie na stacji z korepetycją, rodzicielską opieką i wszelkimi wygodami za dwieście złotych i pięć korcy⁶ ordynarii⁷ na rok i – sprawił mi szkolny uniform.

Nowy strój tak mnie zajął, że nie mogąc nacieszyć się nim w ciągu dnia wstałem cichutko w nocy, ubrałem się po ciemku w surdut z czerwonym kołnierzem, włożyłem na głowę czapkę z czerwonym lampasem i miałem zamiar posiedzieć tak kilka minut. Ponieważ jednak noc była dżdżysta, ode drzwi trochę ciągnęło, a ja poza obrębem munduru i czapki byłem w negliżu, więc trochę zdrzemnąłem się i przespałem w uniformie do rana.

Taki sposób nocowania bardzo rozweselił moich kolegów, ale w gospodarzu naszej stacji obudził podejrzenie, że ma w domu nadzwyczajnego urwisa. Pobiegł czym prędzej do zajazdu, gdzie stał mój ojciec, i powiedział mu, iż za żadne w świecie skarby nie chce mnie trzymać na stacji, chyba – że mu ojciec dołoży jeszcze pięć korcy kartofli na rok. Po długich targach stanęło na trzech korcach, ale swoją drogą ojciec pożegnał się ze mną w tak demonstracyjny sposób, że ani żałowałem go, kiedy wyjeżdżał, ani tęskniłem za domem, gdzie częściej mogły mnie spotkać podobne owacje.

Przebieg mojej edukacji w klasie pierwszej nie przedstawia żadnych wybitniejszych momentów. Dziś patrząc na owe czasy z historycznej odległości, koniecznej, jak wiadomo, dla sformowania obiektywnego sądu, wyznaję, że w ogólnych zarysach życie moje zmieniło się niewiele. W szkole trochę dłużej przesiadywałem w zamkniętej sali, w domu – trochę więcej biegałem po otwartej przestrzeni. Zmieniłem suknie cywilne na mundur, a osoby, pracujące nad harmonijnym rozwinięciem moich fizycznych i duchowych uzdolnień, zamiast dyscypliny – używały różgi.

I oto wszystko.

Szkoła, jak wiadomo, dzięki swemu zbiorowemu charakterowi przygotowuje chłopców do życia w społeczeństwie i daje im takie umiejętności, jakich by nie nabyli, chowając się pojedynczo. O tej prawdzie przekonałem się w tydzień po przybyciu do szkoły, gdzie nauczyłem się sztuki dawania **serów**, która wymaga współdziałania najmniej trzech osób, a więc nie może istnieć poza obrębem społeczeństwa.

Teraz dopiero odkryłem w sobie ten rzeczywisty talent, którego natura chroniła mnie od teoretycznych zaciekań, a popychała w kierunku działalności zbiorowej. Należałem do pierwszorzędnego graczy w palanta, bywałem **matką** w bitwach, organizowałem pozaklasowe wycieczki, zwane **wagusami**, dyrygowałem w klasie ogólnym tupaniem lub beczeniem, cośmy sobie dla wytchnienia urządzali niekiedy w sześćdziesięciu. Natomiast znalazłszy się samotnym wobec gramatycznych prawideł, wyjątków, deklinacyj i koniugacyj⁸ tworzących, jak wiadomo, podstawę filozoficznego myślenia, wnet uczuwałem w duszy jakąś pustkę, z której głębi wynurzała się – senność.

Jeżeli przy takim talencie do nieuczenia się wypowiadałem lekcje stosunkowo dość płynnie, to tylko dzięki silnemu wzrokowi, który pozwalał mi czytać z książki odległej o dwie lub trzy ławki. Zdarzało się niekiedy, że m wydawał zupełnie co innego, niż było zadane, lecz wówczas uciekałem się do modelowego w takich wypadkach usprawiedliwienia. Mówiłem mianowicie, że m nie dosłyszał pytania albo że „się załakłem”.

W ogóle byłem uczniem – przyszłości, nie tylko dlatego, że m budził niezadowolenie w starych rutynistach, a posiadałem sympatię młodych, ale i dlatego, że dobre stopnie z różnych przedmiotów, a wraz z nimi nadzieję promocji, widziałem tylko w marzeniach wybiegających daleko poza teraźniejszość.

⁶ korcy (daw.) – dziś forma D.lm.: korców; korzec: daw. jednostka objętości produktów sypkich (ziarna, mąki itp.), licząca w XIX w. ok. 128 litrów i podzielna na 32 garnce. [przypis edytorski]

⁷ ordynaria – część zapłaty uiszczana w naturze (zbożu, kartoflach itp.). [przypis edytorski]

⁸ deklinacyj i koniugacyj – daw. forma D.lm., dziś raczej: koniugacji, deklinacji. [przypis edytorski]

Moje stosunki z nauczycielami były rozmaite.

Profesor łaciny pisał mi nie najgorsze stopnie za to, że pilnie uczyłem się gimnastyki, którą także on wykładał. Ksiądz prefekt wcale mi nie dawał stopni, ponieważ zasypywałem go kłopotliwymi pytaniami, na które jedyną odpowiedzią z jego strony było: „Leśniewski, idź klęczeć!”. Nauczyciel rysunków i kaligrafii protegował mnie jako rysownik, ale potępiał jako kaligraf; lecz ponieważ w jego umyśle sztuka pisania była najważniejszym szkolnym przedmiotem, więc przy głosowaniu z sobą samym przeważał na stronę kaligrafii i dawał mi jednostki, niekiedy dwójki.

Arytmetykę rozumiałem wcale dobrze, ten bowiem wykład oparty był na metodzie pogłądowej, to jest „na biciu łap” za nieuwagę. Nauczyciel języka polskiego wróżył mi świetną karierę, ponieważ raz udało mi się napisać mu na imieniny wiersz obejmujący pochwałę jego surowości. Nareszcie stopnie z innych przedmiotów zależały od tego, czy moi sąsiedzi dobrze mi podpowiadali albo czy leżąca na poprzedniej ławce książka była otwarta we właściwym miejscu.

Najpoufalsze jednak stosunki łączyły mnie z inspektorem. Człowiek ten tak przyzwyczaił się do **wypukiwania** mnie z klasy w czasie lekcyj⁹ i do widywania się ze mną po lekcjach, że był szczerze zaniepokojony, gdy w którym tygodniu nie przypomniałem się jego pamięci.

– Leśniewski – zawołał pewnego dnia, spostrzegłszy, że już idę z klasy do domu. – Leśniewski! ... a dlaczego ty nie zostajesz?

– Przecież nic nie zrobił¹⁰ – odpowiadam mu.

– Jak to, więc nie jesteś zapisany do dziennika?

– Jak ojca kocham, tak nie!

– I umiałeś lekcje?...

– Kiedy mnie dziś wcale nie **wyrywali!**...

Inspektor zamyślił się.

– Coś w tym jest! – szepnął. – Wiesz, Leśniewski, zostań ty tu na chwilkę.

– Mój złocisty panie inspektorze, przecież ja nic nie winien!... jak ojca kocham!... jak Bożię kocham!...

– Aha... przysięgasz się, ośle?... Chodźże mi tu zaraz!... A jeżeliś naprawdę nic nie zmalował, to... policzy ci się na drugi raz!...

W ogóle miałem u pana inspektora kredyt otwarty, co mi w szkole zrobiło pewną popularność, tym istotniejszą, że nikogo nie pobudzała do konkurencji.

Między kilkudziesięcioma pierwszoklasistami, z których jeden golił już wąsy prawdziwą brzytwą, trzej po całych dniach grali w karty pod ławką, a inni byli zdrowi jak kantoniści, znajdował się kaleka – Józio. Był to chłopczyk garbaty, karzeł na swój wiek, mizerny, z małym noskiem sinym, bladymi oczyma i gładkimi włosami. Był tak warty, że musiał odpoczywać, idąc z domu do szkoły, a tak bojaźliwy, że gdy go wyrwano do lekcji, tracił mowę ze strachu. Nigdy nie bił się z nikim, tylko prosił innych, ażeby jego nie bili. Gdy mu raz „dano szczupaka” po suchej jak patyk rączynie – zemdłał, ale otrzeźwiony – nie poskarżył się.

Miał on oboje rodziców, ale ojciec wygnał matkę z domu, a Józia zatrzymał przy sobie, pragnąc sam kierować jego edukacją. Sam chciał odprowadzać syna do szkoły, chodzić z nim na spacer, dawać mu korepetycje, ale nie robił tego z powodu braku czasu, który mu dziwnie prędko ginął w handlu trunków i owsianego piwa u Moszka Lipy.

Tym sposobem Józio nie miał żadnej opieki, a mnie się niekiedy wydawało, że na takiego malca nawet Bóg niechętnie patrzy z nieba.

Swoją drogą Józio miewał pieniądze, po sześć i po dziesięć groszy na dzień. Za to miał sobie kupować w czasie pauzy po dwie bułki i po serdelku. Ale że go wszyscy prześladowali, więc on,

⁹ lekcyj – daw. forma D.lm.; dziś raczej: lekcji. [przypis edytorski]

¹⁰ *przecież nic nie zrobił* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: przecie(ż) nic nie zrobiłem. [przypis edytorski]

chcąc się jako tako zabezpieczyć, kupował po pięć bułek i rozdawał je najsilniejszym kolegom, ażeby mieli dla niego łaskawe serce.

Podatek ten nie na wiele się przydał, bo poza pięcioma zjednanymi, stało trzy razy tylu nieprzejednanych. Dokuczali mu bez ustanku. Ten go uszczypnął, tamten pociągnął za włosy, inny ukłuł, czwarty dał byka w ucho, a najmniej odważny nazywał go przynajmniej – garbusem.

Józio tylko uśmiechał się na te koleżeńskie żarty, czasami prosił: „Dajcie już spokój!...” – a czasami i nic nie mówił, tylko opierał się na chudych rękach i szlochał.

Koledzy wołali wtedy: „Patrzcie! jak mu się garb trzęsie!...” – i dokuczali mu jeszcze zawzięciej.

Ja z początku mało zwracałem uwagi na garbuska, który wydał mi się niemrawym. Ale raz ten duży kolega, który golił wąsy brzytwą, usiadł za Józkiem i począł mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsła się od śmiechu. Wtedy coś mnie ukłuło w serce. Schwyciłem otworzony scyzoryk i drągala, który dawał garbusowi byki, pchnąłem w rękę do kości wołając, że tak zrobię każdemu, kto Józka dotknie palcem!...

Drągłowi trysnęła krew, zbladł jak ściana i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa nagle przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć: „Dobrze mu tak, niech nie dokucza kalece!...”. W tej chwili wszedł profesor, a dowiedziawszy się, że zranił nożem kolegę, chciał sprowadzić inspektora z **diadkiem** i z różgą. Ale wszyscy zaczęli za mną prosić, nawet sam zraniony drągalek; więc pocałowaliśmy się naprzód ja z drągalem, potem on z Józkiem, potem Józio ze mną – i tak mi się upiekło.

Uważałem, że przez całą lekcję¹¹ garbus odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował im, ale – przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem. Nie wziąłem, więc trochę zawstydzził się, a potem rzekł cicho:

– Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

– Gadaj! – odparłem – ale prędko...

Garbus stropił się, a potem zapytał:

– Czy ty już masz przyjaciela?

– A mnie co po tym?...

– Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem.

Spojrzałem na niego z góry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cieniem i stłumionym głosem.

– Dlaczego ty nie chcesz, żebym był twoim przyjacielem?

– Bo ja nie wdaję się z takimi trutniami jak ty!... – odpowiedziałem.

Garbusowi bardziej niż zwykle posiniał nos. Już chciał odejść, ale zwrócił się jeszcze raz do mnie, mówiąc:

– To może chcesz, żebym przy tobie siedział?... Widzisz, ja uważam, co belfry zadają, robiłbym za ciebie przykłady... Umiem dobrze podpowiadać.

Ta argumentacja wydała mi się poważną¹². Po namyśle przyjąłem garbuska do ławki, a mój sąsiad zgodził się, za pięć bułek, odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczęśliwszy pomocnik, powiernik i chwalc. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał!... Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce ani się umywał do Józka. W podpowiadaniu garbus był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętymi zębami i robił przy tym tak niewinną minę, że żaden z profesorów nawet nie podejrzewał...

¹¹ przez całą lekcją (daw.) – dziś: przez całą lekcję. [przypis edytorski]

¹² wydała (...) się poważną (daw.) – dziś: wydała się poważna. [przypis edytorski]

Ile razy osadzono mnie w kozie, garbusek przynosił ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu. A gdy mnie spotkała jaka większa nieprzyjemność, ze łzami w oczach zapewniał kolegów, że ja nie dam sobie zrobić krzywdy.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.